Nr. 26. We Lwowie dnia 1. lipca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Z NAD SEKWANY.

Kiedy się przyglądam Sekwanie o różnych porach dnia i miesiąca, uderzają dziwne, bo zupełne zmiany barwy jej wody. Gdy jest spokojną, toń jej szkli się błękitem łagodnym lub kryje w sobie głęboki, ciemny szafir. To znowu, gdy wiatr spędza chmury na niebo, łono jej kołysze się falami czysto zielonemi. A gdy wicher mocniej szarpie powietrze, niepokoi się ona i pieni żółtym, mętnym prądem i ciska na siebie szare, brudne bałwany. W tych głównych kolorach przybiera Sekwana odcienia przeróżne, przelewa je, rozpryskuje, roztrąca, dając wciąż nowe załamania. Obejmuje całą ich gamę, dzieląc je, łącząc, jak wirtuoz, przepluskuje swój żywioł, mieniący się w ustawicznej grze i rozmaitości, wydobywając wszystkie tony, od nikłych, niepewnych i słabych, do jaskrawych, stanowczych i potężnych.

Tylko w dnie bardzo pogodne przysłania się nasza Wisła taką tęczą kolorów; ale nie są one jej własnymi, ale odbiciem nieba, słońca, chmur, snujących się cieniów. Właściwa i stała natura barwy jej szamocących się fal jest jedna: żółta, piaszczysto-żółta, gdzieniegdzie z odcieniem popielatym. Jest w tem dzikość pewna, niepokój i smutek, zaciętość iześrodkowanie się, pewna jednostronność zamkniętego w sobie charakteru. I kiedy się stoi nad Sekwaną, a pamięć wysuwa przed oczy obrazy Wisły i kiedy tak się porównywa jedną z drugą, uczuwa się, iż rzeki mają dusze różne, które się nie zrozumieją i wielu rzeczy sobie nie przebaczą. I kiedy my, ze swoją naturą z nad Wisły, stajemy w obec tego życia Paryża, które, jak jego Sekwana, oblewa się taką grą barw rozmaitych i różnorodnych, jesteśmy zdziwieni, odurzeni i oburzeni. My wszyscy, którzy żyjemy albo głową, albo żołądkiem, albo abstrakcją, albo zmysłami, wyobraźnią lub wyrachowaniem, a niczem w pełni, patrzymy na Paryż, jako na coś potwornego w upadku, rozkładającego się, na pół zgniłego.

Zdanie Renana, że »wrażenie, otrzymane ze spraw ludzkich, nie jest zupełne, jeśli obok łez nie ma ironji, obok gniewu — litości, obok czci — uśmiechu« zdanie to nabiera tutaj cech realnych konkretności i w tem przefiltrowanem przez abstrakcję uogólnieniu życia paryskiego wydaje się nam prawie niemoralnem. Czuje się że to o wiele mniej jest sceptycyzmem filozoficznym, który w oglądaniu rzeczy ze wszystkich stron szuka prawdy istotnej, niż krzykiem życia codziennego francuza, które niema jednej barwy«. Jakże można — pytamy ze zdziwieniem — nosić się z ideałami i patos o sprawiedliwości, braterstwie, równości, przeplatać świstaniem przez zęby piosenek *sans gêne*? I nietylko się dziwimy, nietylko oburzamy, ale nie skąpimy politowania, żalu, jakiegoś rozgoryczenia, jakby względem człowieka chorego i upadłego. Mało znam rodaków w kraju, którzyby w rozmowie o Francji nie rzucili jakiego wyrazu litości, jakiejś wyższości mniej pobłażliwej, niż protekcjonalnej, względem »warcholstwa«, nie wykrzywili ust wstrętem, nie wstrząsnęli się obrzydzeniem.

A jednak nie znam tutaj, w Paryżu, ani jednego, któryby zachował coś z dawnych uśmiechów politowania, potrząsań głową nad »upadkiem«, dawnych skrzywień żalu, oburzenia i wstrętu. Tutaj, w Paryżu, odczuwa się, że »nasza Wisła« jest inna, nie lepsza lecz »inna«. Patrzy się z podziwem, nie strachem, na bogactwo tej innej, niż nasza Wisła, rzeki, tej nieskończonej w rozmaitości, niewyczerpanej i zuchwałej w odmianach, niepowstrzymanej w płodności — cudownej rzeki życia paryskiego. Rozwija się ono pysznie i przejawia wszystkiemi

porami, zdolnościami i siłami. Każde uczucie woła o prawo istnienia i wywalcza je; każda myśl podnosi głowę i zabiera głos. Każde uczucie i każda myśl szukają swoich dróg, przebijają się przez życie i w pełnem świetle ruszają się, oddychają i — zapładniają. Nic nie kryje się po kątach, nie mdleje na pół-drodze, nie marnieje w półrozwoju, zdjęte strachem wstydu, konwenansu opinji. Jak natura, życie Paryża nie zna sztucznych pęt ani łańcuchów. Jak natura dzika, na którą człowiek nie położył ręki — i to jest wielki i zdumiewający kontrast — posiada ta kultura dzieło sztuki i wyrafinowania, wszystkie pierwiastki: piękność i brzydotę, potworność i prostotę, niewiarę i ekstazę, woń kwiatów i wyziewy rozkładu, płodność i jałowość, ale przedewszystkiem — i to jest cechą górującą — ciągle bijące źródło życia różnorodnego i nieskończonego. Jest ono, jak te fontanny, które raz do roku tryskają na Polu Marsowem, oświetlane z wewnątrz coraz to innymi kolorami, drżące, jak olbrzymie pióropusze z rosy, w których ciągle zmieniają pióra. Zdawałoby się, że Paryż zadaje kłam słowom Darwina, iż »przyroda jest skąpa na nowości, a rozrzutną na przemianę«, gdyż jest on szczodrym do rozrzutności na jedne i drugie. Pewna kobieta dowcipna nazwała go »łodzią kwiatów całej Europy«. Jest on »łodzią« tych wszystkich kwiatów, które są po całej Europie rozsiane, a także tych, których tam nie ma. Jest on również tą ziemią, która owe kwiaty rodzi: jest przedewszystkiem tą naturą, która płodzi, i — to płodzenie obnaża. Jest w tem, jesli chcecie, bezwstyd pewien, ale jakiś grecki, »naturalny«.

»Jak to? — zapytują — więc niema tam wyuzdania, zepsucia, znikczemnienia?« — Któż temu zaprzecza: jest ono wszędzie, jest i w Paryżu. Tylko — lękam się powiedzieć, a jednak przekonany o tem jestem głęboko — większa, znacznie większa część nie ma nic wspólnego z upadkiem, słabością, zwyrodnieniem. Zwyrodnienie! Oto wielkie słowo, które ciągle powtarzają. Nie sądzę, aby było coś dla umysłów Paryża bardziej wstrętnego nad rozdźwięk między nakazami moralności, konwenansu, opinji, a jego własnymi popędami, namiętnościami, żądaniami i pożądaniami. Nie ma dla niego żadnej wartości układ społeczny z pretensjami ciągłych gwałtów na nim. Chce mieć taki, który byłby sługą nakazów jego ducha i ciała, niewolnikiem tego, czego on łaknie i pragnie. Gotów on o nim powiedzieć, co Romeo o filozofji: »zawieś ją na haku, jeśli nie możesz dać Julji«.

Z tego punktu widzenia nie tak obcem jest wiele zjawisk życia francuskiego. Wezmę przykład. »Młoda Francja«, gdy jej się przypatruję w *La Revue Blanche, Merkure de France, L'Ermitage, L'art et la vie* i tylu innych jej dzieciach, jest dziwnie innego polotu, niż »młode Niemcy«. Gdy te ostatnie brzemienne są układem społecznym, który ma »nasycić« ludzkość, pytają się z tamtej strony Renu »młodzi« czy nie skończy się to na nasyceniu żołądka, jeśli się już teraz prawie o niczem innem nie mówi? I dalej się pytają: Czy prawa, które zakładają nową erę, uczynią ludzi lepszymi, bardziej kochającymi, szczęśliwszymi, wrażliwszymi na nieszczęście bliźniego? Czy nie dadzą nieszczęścia człowieka sytego? Naturalnie, powiadają »młodzi«, dla wydziedziczonych trzeba przedewszystkiem chleba i mięsa, ale — i tu znowu się pytają, używając wyrażeń bardzo »dosadnych« — czy demokracja niemiecka ze swoim »przewrotem ekonomicznym«, z »obroną apetytów«, ze swoją »kampanją brzucha«, z »pojmowaniem przyszłego szczęścia ludzkości jako jarmarku« — i niczem więcej, nie jest bezsilną wobec tych części duszy, które chcą płakać i kochać, wobec litości i miłości? Oczywiście *le geste est dur;* ale gdy się składa książkę i bada życie Paryża, pojmuje się odmienność i sprzeczność tych dwu prądów. Bo we wszystkiem, co otacza człowieka w Paryżu, we wszystkich co drga w ludziach i powietrzu, odczuwa się wyraźnie taką tendencję. To, co jest najgłębszem i najpotężniejszem w człowieku, jego łaknienie szczęścia, jego głód rozkoszy, powinno mieć głos przedewszystkiem, a nie jego poglądy i opinje o szczęściu, jego „prawdy", których, jak mówi Prospero w »Wodzie młodości« Renana, mamy trzy do czterech dziennie, jeśli tylko dodaje z uśmiechem, nie wykładamy ich z »profesji«. Jeden z najświetniejszych pisarzy młodej Francji, Maurycy Barrés we »Wrogu praw« woła: »Nikt nie powinien być nauczycielem prócz *tego, który nie mówi* (instynktu). Lecz mówiący, chcę powiedzieć ten, kto posiada opinję, niech się wystrzega nauczać i niech się ograniczy do nauczania tych, którzy jego pytają«. Inny autor i na innym końcu świata, amerykanin Daniel Harcoland w swym dramacie filozoficznym »Złe piękna«, zawołał: »pierwszy sędzia był pierwszym winowajcą«. Tak mówią »młodzi«.

I gdy się znowu rozkłada książkę, ogarnia nas całe tchnienie tego życia, które ma nietylko mózg, lecz i zmysły. Widać to w języku, stylu nawet. Nigdzie pióro socjologa nie prowadzą wyraźniej i mocniej wzruszenia; ono może być i ze stali logiki, lecz maczanem jest zawsze w uczuciu. Nigdzie też objektywizm angielski nie uległ większemu zaprzeczeniu. Jest to wysoce charakterystycznem, że jeden z najpiękniejszych młodych umysłów francuskich, przedwcześnie, niestety, zgasły Guyau, przeciwstawił etyce szkoły angielskiej, szukającej tylko tego, co jest, szkole »indukcyjnej«, system tego, co powinno być, czego człowiek chce i żąda, system moralności »intuicyjnej«. Proszę mi wskazać bodaj jednego uczonego francuza, badającego zjawiska społeczne, ktoryby nie przeżywał ich uczuciem, któryby wobec nich nie unosił się, litował, kochał, nienawidził, któremuby ręka nie drżała przy dy-

sekcji. »Subjektywizm w socjologji« leży u francuzów w temperamencie. Dlatego też język ich skrzy się i mieni; dlatego o sto mil od nich jest ten styl uczonych niemieckich suchy, płasko-prozaiczny, drewniany, który czuć piwem, i tabaką. »Nigdzie tak nie piszą świetnie jak we Francji« — zdarza się często słyszeć uwagę. Ale pokażcie mi, gdzie jest jeszcze taki temperament u ludzi? Odwróćcie zdanie Buffona i powiedźcie: człowiek to styl. Czasami się też słyszy, jak napadają na ten »talent pisarski« nietylko francuzów, lecz w ogólności. »A talent, talent!« — wołają. »Czyż się nie to nazywa talentem, gdy się o rzeczach wiadomych mówi z żywością, melancholją, radością, smutkiem, rozpaczą, uniesieniem. Talent! Ależ niema w nim dążenia szczytnego do prawdy, niema miłości prawdy, celem jego nie jest prawda. Talent — to stany uczucia mniej lub więcej oryginalne. Mówcie o talencie malarzy, poetów, rzeźbiarzy, muzyków, ale nie o talencie umysłu i duszy badającej!« Na to odpowiada nauka społeczna francuska całą swoją literaturą, która tchnie tem prostem zdaniem, że nie widzi się, a jeśli się widzi, to nie pojmuje ludzkiej radości, z którą się nie cieszy — i kocha, ludzkiego cierpienia, z którem się nie płacze — i nienawidzi; i że historja tylko się z tego składa.

»Zawieś filozofję na haku, jeśli ona nie da ci Julji!«

A Le Rab.

OGNIWA.

Przez

Elizę Orzeszkową.

(Ciąg dalszy.)

Musiała to być istotnie wesołość wielka, bo jeszcze teraz po latach czterdziestu, odblask jej padł na gęste zmarszczki jego twarzy, a echo ozwało się w śmiechu cichym i przeciągłym. Rozweselony, z oczyma błyszczącemi i rękoma rozłożonemi, mówił dalej:

— Nu, czy ja mógł wtenczas ten zegar sprzedać, kiedy mnie Pan Bóg przez niego swoją łaskę okazał? Ja jego troszkę bał się sprzedawać, żeby tego szczęścia od siebie nie odwrócić, a troszkę żałował dzieci, dla których ten ptak, co w nim śpiewa, był całą zabawą i taką radością, że jak on zaczynał kukać, to oni zaraz zaczynali przed nim tańczyć... Kupców ja na niego miał, ale zawsze myślał sobie: niech to będzie potem! niech on sobie jeszcze trochę u nas pobędzie? Aż Pan Bóg na mnie ciężką chorobę przysłał...

Odetchnął głęboko, oczy wzniósł ku sufitowi i mówił dalej:

— Kiedy Pan Bóg na mnie tę chorobę przysłał, to ja może przez cały miesiąc nie spał. Czy jasny pan wie, co to jest, kiedy człowiek, mający we wnętrznościach wielkie boleści, a w głowie czarne myśli, przez całą noc leży z otwartemi oczyma i w ciemność patrzy? Ja w tej ciemności wiele rzeczy widział, co żeby ich żaden dobry człowiek nigdy nie widział! Ja widział swoją śmierć i swoje dzieci, co bezemnie w wielkiej nędzy będą, i swoje grzechy, któremi Pana Boga obraził, i wielki strach, co mnie za nich na tamtym świecie czeka... A kiedy ja tak leżał i na takie rzeczy otwartemi oczami patrzył, to jak tylko w tym zegarze ten ptak zakuka, zaraz te obrazy, co w ciemności zawieszone, zmieniają się na inne. Czy jasny pan domyśli się, co ja wtedy widział w ciemności, jak ten ptak kukał? Ja wtedy widział Strumienicę i samego siebie, jak przy płocie od dziedzińca stoję i patrzę sobie na ten las, co tam zaraz za dworem był... Aj, jakie piękne lato! Ten ogród, co na nim biały pałac odbija się, taki zielony i od niego bardzo przyjemne zapachy przylatują... Nad pałacem, na takiem wysokiem drzewie, taki wielki ptak z długim dziobem stoi na takiem wielkiem gnieździe i żabami, co ich z łąki przyniósł, swoje dzieci karmi... A w tym lesie, co ja na niego patrzę, takim zielonym, drugi ptak kuka... całkiem tak kuka, jak ten zegar... To ja na te obrazy patrzał, śmiał się do nich jak dziecko, kiedy jemu pokażą cacko, i dziękował Panu Bogu, że mnie dał taką nieżywą rzecz, co mnie na ciemnościach maluje takie światłości...

Umilkł i dość długo siedział z dłońmi, złożonemi na kolanach i z głową zwieszoną.

Hrabia, z czołem na dłoni, uważny i zasłuchany, milczał także, a obie głowy ich siwe i pochylone oblewał dokoła szmer czasu potakujący, nieustanny: tak-tak, tak-to-tak, tak-to-tak, tak-to-tak.

Po chwili ze szmeru tego wyłonił się znowu głos żyda zniżony, prawie szepczący.

— Jaby jaśnie panu przez cały tydzień opowiadał różne rzeczy o tym zegarze, i jeszczebym wszystkich nie opowiedział. Ale jedną jeszcze powiem. Niech jasny pan tej jednej rzeczy cierpliwie posłucha.

Opowiedział, że kiedy jego najmilsza Małka do Ameryki wyjeżdżała, on nie odprowadzał jej na dworzec kolei, ponieważ czuł, że nie powstrzyma się od płaczu, a nie chciał, aby ludzie litowali się nad jego staremi oczyma, które jeszcze tak płakać muszą. Więc córka i dzieci jej pożegnały go tu, w tej samej izbie i poszły sobie, a on jak nieżywy siadł na ziemi, w kącie, ot w tym kącie i schwyciwszy się obiedwiema rękoma za głowę, kiwał się i płakał, i jęczał do

Pana Boga, za co on na niego takie wielkie nieszczęście przysłał. Lecz nagle on sobie pomyślał, że tu słychać ten świst taki długi i ostry, z którym pociągi oddalają się od dworca, i zachciało się mu ogromnie ten świst usłyszeć. »Niech ja jego posłyszę — myślał — niech ja wiem, kiedy moja Małka i jej dzieci już tu przestaną być, kiedy oni dla mnie całkiem przepadną...« Wiedział, o której godzinie i minucie ten świst rozlega się zazwyczaj, i siedząc w kącie na ziemi, z głową w rękach, zaczął patrzeć na zegarek, na ten zegarek z ptakiem. Patrzał i myślał: za kwadrans, za dziesięć minut, za pięć, za trzy minuty... Wtem rozległ się świst długi i taki ostry, że całkiem przeszył mu serce. Już jego Małka przestała tu być, już ona, choć żyje, dla niego umarła... — Czy jasny pan uwierzy? Ja pamiętam, że było wtedy dwadzieścia trzy minuty po dziesiątej...

Hrabia wstał zamyślony.

— Mój Berku — rzekł — rozumiem dobrze, dlaczego nie chcesz sprzedać tego zegara. Czytasz ty na nim tak, jak ja na swoim — przeszłość.

Żyd głową potrząsł z zadowoleniem wielkiem.

— Jasny pan prawdę powiedział. Jasny pan na swoim zegarku, tak jak ja na swoim — czyta przeszłość. Ją każdy ma.

Stali teraz naprzeciw siebie, blizcy już rozstania, lecz ociągający się z pożegnaniem, czując kowala niewidzialnego, który kuł pomiędzy nimi ogniwa niespodziane, a dokoła postaci ich przygarbionych i zwątlałych fala czasu płynęła ze szmerem nieustannym, stukotliwym: tak-tak, tak-to-tak, tak-to-tak, tak-to-tak.

Hrabia usiadł znowu i nawet rozsiadł się na krześle, jak do gawędy dłuższej, a ze szmeru, napełniającego izbę, wydobył się głos basowy, bardzo czysty i wydzwaniać zaczął: raz, dwa, trzy! Za czwartem uderzeniem przybiegł mu z wtórem, jak młodzieniaszek mężowi dojrzałemu, cieniutki głosik wiolinowy i wykrzyczał: raz, dwa! a za trzeciem uderzeniem swojem dostał wtór głosów innych, którym wnet z pomocą przybiegły jeszcze inne, aż cały chór, zgodnie uderzywszy kilka razy, stopił się znowu do trzech i do dwóch głosów, kończących wygłaszać godzinę jedenastą.

* * *

Kilka miesięcy upłynęło. — Wiosna była wczesna, łagodna, słoneczna. Stary Berek wyszedł z izby, napełnionej wiecznym szmerem zegarów i przed drzwiami stanął na dwóch wschodach, które rozdzielały je z chodnikiem. Wnet oblało go światło słoneczne, na którego tle złotem uwypukliła się postać nieduża, wątła, trochę przygarbiona, w odzieniu długiem i wyszarzanem, w czapce spłaszczonej z wykrzywionym daszkiem. Pod daszkiem czapki uwypukliła się także w złotym blasku twarz okrągła, zwiędła, z małemi rumieńcami na policzkach pomarszczonych, w okularach, których rogowa oprawa przerzynała czarnemi linjami czoło, skronie i gubiła się za uszyma we włosach siwych. Siwa broda połyskiwała na piersi jak kądziel ze srebrną przędzą.

Stał w świetle i cieple słonecznem, rozgrzany i rozweselony, spoglądający przez wielkie szkła okularów na ulicę wązką, pełną światła, ustrojoną u góry w pas błękitnego nieba. Godzina była południowa, ludność miasta ruszała się żwawo; z ulic poblizkich, od tej ludniejszych, dochodził dobrze znany gwar i turkot, w którym ucho żyda niebawem rozróżniać zaczęło odgłos mniej zwyczajny; był to śpiew basowy, to wzdymający się, to milknący, to znowu płynący w gwarze gminnym, nutą uroczystą.

Berek wsłuchiwał się przez chwilę, poczem głową kiwnął na znak, że zrozumiał znaczenie tego śpiewu. Orszak pogrzebowy przeciągał niedaleko i wciąż się przybliżał. Na wązkiej ulicy zrobił się ruch taki, jaki bywa zazwyczaj, gdy ludność śpieszy do oglądania rzeczy ciekawej. Na chodnikach zatętniały stopy śpieszące, zaszumiał gwar głosów podniesionych.

Berko spokojnie stał na dwu wschodach, wznoszących się nad chodnikiem i patrzał w stronę, od której przybliżał się śpiew uroczysty. Przestrzeń paruset kroków dzieliła go od końca ulicy, za którym przeciągały zazwyczaj pochody żałobne.

Ten także ukazał się wkrótce. Z za wysokiej ściany kamienicy wysunęło się naprzód kilka postaci w bieli, czarny krzyż wzniósł się w złotem powietrzu, chorągwie powiały czerwienią i szafirem, pochodnie zapalone błysnęły łańcuchem płomieni żółtych, martwych, smutnych. Śpiew żałobny wzdął się i połączył z turkotem kół powolnym i głuchym. Zaczerniały grube kiry. Wóz pogrzebowy zaprzężony w sześć koni i otoczony ludźmi okapturzonymi żałobą, wiózł na szczycie trumnę, ociekającą srebrem. Dok. n.

Zapomniane hasła.

(Mowa Robespierre'a w sprawie powszechnego głosowania, w zgromadzeniu narodowem 25. styczni 1790.)

(Ciąg dalszy).

Ale na czemże właściwie polega ta osobliwa zasługa płacących podatek pewnej wysokości, że do niej przywiązaliście tak wielkie przywileje? Jeżeli wasze opłaty na rzecz skarbu publicznego są znaczniejsze od moich, czyż to nie płynie stąd, że społeczeństwo wam

zapewnia większe korzyści pieniężne? A rozwijając myśl tę dalej, możemy zapytać, gdzie leży źródło tej nadzwyczajnej nierówności majątkowej, dzięki której wszystkie bogactwa gromadzą się w niewielu rękach? Czyż nie w złych ustawach, złych rządach, słowem, w zgubnych instytucjach? Dlaczegóż zatem ofiary tych nadużyć mają jeszcze w dodatku ponieść karę utraty godności obywatelskiej?

. . . .

Lud! Korupcja! Nie wolno wam profanować nadal tego wzruszającego i uświęconego miana, nasuwając myśl o korupcji! Komu z ludzi, których prawa są równe, wolno uznać bliźniego za niegodnego tych praw i przywłaszczyć je na swoją korzyść wyłączną? Jakąż władzę okropną uzurpujecie sobie nad ludźmi, potępiając ich na podstawie gołego podejrzenia o korupcję. Gdzież, nakoniec, miara waszych potępień? Na czyją głowę słuszniej spaść one powinny, na tych, co nie płacą franka srebrem, czy też na tych, co płacą znacznie więcej? Pomimo wszelkich przesądów, na mocy których cnota lubi przebywać razem z bogactwem, sądzę, że znajdziecie jej tyleż w klasie najuboższej. co i w kołach obywateli bogatych. Czyż naprawdę mniemacie, iż żywot twardy i pracowity więcej rodzi występków, aniżeli zniewieściałość, przepych i ambicja? Czyż mniej macie zaufania do prawości naszych wieśniaków i rzemieślników, którzy, wedle normy podatkowej, nigdy prawie nie będą wyborcami, aniżeli do dzierżawców podatków i dworaków? Chciałbym raz, nakoniec, pomścić tych, których wy ludem nazywacie, za tę sromotną potwarz.

Zapytać muszę, czy w ogóle zdolni jesteście lud ocenić i wydać sąd o ludziach, wy, z umysłem tak ukształtowanym, iż o nich sądzić możecie tylko na podstawie niedorzecznych pojęć o despotyzmie i dumie rodowej; wy, którzy, używając utartego dziwacznego języka, wymysłu tej dumy i despotyzmu, uznajecie, iż trafnie jest większość rodzaju ludzkiego poniżać, zowiąc ją tłuszczą, pospólstwem; wy, którzyście światu dali objawienie, iż są ludzie bez urodzenia, jak gdyby nie wszyscy ludzie żyjący musieli się rodzić, którzy ludźmi bez pochodzenia zowiecie ludzi zasługi, a ludźmi porządnymi i przyzwoitymi najbardziej zepsutych? Zaiste, wy zasługujecie na zarzut, że nie wymierzyliście ludowi należnej mu sprawiedliwości. Co się mnie tyczy, to wzywam wszystkich, którzy idąc za popędem swego szlachetnego i czułego serca, zbliżyli się do ludu i nauczyli cenić i kochać równość, aby zaświadczyli, czy w ogóle istnieje cobądź lepszego i sprawiedliwszego od ludu, jeżeli go tylko zbytni ucisk nie jątrzy; czy lud ten nie okazuje wdzięczności za najmniejszą łaskę, za najdrobniejszą usługę, którą mu się wyświadcza, nawet za krzywdę, której mu się nie wyrządzi; czy pod tą powłoką, którą my nazywamy ordynarną, nie kryje się otwarty zdrowy umysł, prosty rozum i energia, których naprózno szukać u klasy, gardzącej ludem.

Lud żąda tylko tego, co niezbędne, domaga się spokoju i sprawiedliwości. Bogacze pożądają wszystkiego, chcieliby wszystko zagarnąć, wszystkiem owładnąć. Nadużycia — to dzieło i dziedzictwo bogaczy, to bicz dla ludu. Interesa ludu to interes ogólny, interesa bogaczy to interes prywatny, a jednak ci możni chcieliby lud zrobić niczem, a bogactwo uczynić wszechpotężnem.

Czyż mam jeszcze bronić lud przed niewielką resztą zarzutów, którymi go obarczają bezustannie, poczynając od epoki, gdy pękły kajdany despotyzmu aż do chwili obecnej? . . . Wy, tak nieubłagani dla cierpiącej ludzkości, a tacy pobłażliwi względem ucisku, zajrzyjcie do kart historji, obejrzyjcie się dokoła, policzcie zbrodnie tyranów i wówczas bądźcie sędziami między nimi a ludem. A właśnie te wysiłki, które czynili wrogowie rewolucji, aby lud spotwarzyć w oczach jego reprezentantów, a was oczernić przed nim, aby podszepnąć wam rozporządzenia, któreby głos ludu przytłumiły i osłabiły jego energję; usiłowania w celu skierowania patrjotyzmu ludu na fałszywe tory, w celu ukrycia przed nim waszych dekretów i utrzymania go w ten sposób w nieświadomości co do jego własnych praw; owa nieprzebrana cierpliwość, z jaką lud znosił wszystkie swe cierpienia i oczekiwał lepszej doli — wszystko to wszak dowodnie przekonywa, iż jedyną podporą wolności jest lud.

Któż zatem pogodzi się z myślą, iż lud właśnie przez rewolucję, którą zawdzięczamy jego odwadze, szlachetnej i pełnej przywiązania wierności, z jaką bronił swych reprezentantów, pozbawiony ma zostać swych praw? Czyż nie z ludu pochodzili owi żołnierze, rzucający swą broń pod nogi stroskanej ojczyzny? A do jakiej klasy należeli ci, którzy wojsko przeciw ojczyźnie wiedli? Czy lud szedł wonczas do boju w tym celu, aby poprzeć waszą obronę jego praw i godności, czy też dlatego, aby powrócić pod jarzmo arystokracji bogaczy, złamanej wraz z arystokracją rodową?

Zająłem się tu poglądami tych, co wyrazem lud oznaczają odrębną klasę, niższą od innych i godną pogardy. Chcę teraz być zwięzłym i przypomnieć wam, że system, z którym walczymy, podaje w pogardę dziewiętnaście dwudziestych części narodu, że wyłącza on z grona obywateli uprawnionych do głosowania olbrzymią masę ludzi, których nawet przesadna duma rodowa szanować musiała, którzy się wyróżniają w społeczeństwie swem wychowaniem, przemysłem, a nawet bogactwem. Dok. n.

„PRZY TOBIE“.

(Ciąg dalszy).

Nagle przyszła jej myśl. Wstała szybko, drżącemi rękami zapaliła wielką lampę, dobyła zawieszony na szyji kluczyk i otworzyła biurko.

Jak dawno — jak dawno! Oto nareszcie! Cała przeszłość wionęła na nią z wnętrza tej otwartej szuflady. Patrzyła chwil kilka, a potem delikatnie, z uszanowaniem relikwji, dotknęła palcami papierów. Rozrzewniło ją to jedno dotknięcie; zdawało się, że dotykała nieumarłej jeszcze przeszłości. Potem jeden po drugim brała papiery, kartki, notatki i przeglądała uważnie. Na każdej z tych kartek droga ręka spoczęła choć przez chwilę — widziała tę białą, podłużną rękę z obrączką na palcu. Tu były jakieś wyliczenia, tam rozpoczęte listy, rachunki, pokwitowania, owdzie notatki z książek. A tu w prawym oddziale — cóż to za paczka związana skrawkiem wstążki? Ach — listy! Ich listy z czasów, gdy byli jeszcze narzeczeni. Rozwiązała paczkę — rozsypały się. Lekko zżółkłe, zleżałe, o zbladłym atramencie przeźroczyste listki — ileż one mówiły! Niektóre z nich były zszargane, załamane na rogach, jakby długo noszone w odzieniu. Zdarzało się, że niekiedy przeglądali je razem: nieraz się uśmiechnęli, częściej oczy zachodziły łzami. Teraz przeczyta je wszystkie, od pierwszego do ostatniego, zarówno jego, jak i swoje własne odpowiedzi.

I czytała. Czytała niektóre po kilkakroć. Zapomniała, co z nią jest, gdzie się znajduje, ile dni dzieli ją od tych listów — i jakich dni! W opuszczonych źrenicach zatliło się życie, nawet coś, jakby cień rumieńca wystąpił na policzki. Przeżywała wszystko, co czuła, pisząc i odbierając te kartki, i tę czułość, i tę tęsknotę, i świadomość, że gdzieś, niezbyt daleko on się znajduje; że wkrótce, coraz już bliżej, coraz bliżej, zobaczy go — zobaczy, aby już nie opuszczać na wieki.

Listów nie było wiele — ale je czytała tak długo. A noc szła niewzruszonym torem. I oto spostrzegła nagle, że na cieniutką ćwiartkę, która chwiała się w jej palcach, padła wyraźna, błękitna smuga dnia. Podniosła głowę i wpatrzyła się w okno, usiłując wytworzyć w sobie pojęcie obecnej chwili. Tak, dzień już się zbudził. Jasne, wyraźne, realne światło napływało przez okno, ćmiąc żółty płomień lampy. Wszystkie sprzęty zarysowały się wybitnie, nad nią z pod cienia choiny, wyraźnemi, szorstkiemi smugami zaznaczyły się pociągnięcia pędzla.

Porwała się gorączkowo, wrzuciła listy w głąb biurka, zatrzasnęła szufladę i uciekła.

W swojej ciemnej sypialni rzuciła się na łóżko, mocno objęła rękami poduszkę i przycisnęła do twarzy. Miała przez kilka godzin widzenie przeszłości — przez kilka godzin czuła go przy sobie.

I łzy obfite, szczęśliwe, długo wsiąkały w batyst poduszek. Dlaczegóż przytem ten ból taki w sercu?

Zakupiła mnóstwo kwiatów, pełne kosze, girlandy, bukiety. Cały grób skrył się pod niemi. »Ty mnie kochasz, mój luby, ty mnie kochasz!« szeptała, uśmiechając się rzewnie. Wieczorem rozpaliły się jej policzki, lekki dreszcz wstrząsał ciałem. »Kiedyż ten nieznośny dzień się skończy, kiedyż nareszcie będę sama?« I około północy była już znowu przy biurku, zamykała drzwi na klucz i pogrążyła się w czytaniu.

Ale »dziś« nie jest »wczoraj«. Te wszystkie listy umiała już na pamięć. Nie doszła do ich połowy, gdy ogarnęło ją niespodzianie zmęczenie, rozczarowanie, przesyt.

»To tylko martwe wspomnienie — myślała z goryczą — rzeczywistość musi objawić się życiem«.

Związała listy i znowu je do prawego oddziału schowała. Cóż teraz zrobi? Poczęła machinalnie przerzucać zawartość biurka. Wszystko to rzeczy tak nikłe, tak małej treści, względnie do tego, co pragnęłaby znaleźć. Gdyby mogła natrafić na coś takiego, coby jakąś całość jego przedstawiało — coś, coby jak ten portret, przedstawiający twarz, uprzytomniało jego duszę, możeby wtedy... Ale nic, nic zgoła nie znajdowała. Zastanowił ją jedynie mały półarkusz — nie ważnością, lecz zagadkowością zastanowił. U góry napisano: »Garść zboża«, a dalej jakieś kwadraty, poznaczone mniejszymi kwadracikami, linjami, punktami. Gdzieniegdzie drobniutkie nadpisy: *ogród* — *sale gimnastyczne* — *wykłady* — *p—k* (może park); potem już tylko cyfry i litery; wśród nich większy kwadrat oznaczony: *piastunki*. Był to widocznie jakiś plan — ale czego? Odwróciła papier. Tu znalazła parę wierszy:

Ludzkości! ty rzucasz siew swój na rozdroża,
Garści czystego zboża pod stopy przechodniom,
Marnie stracony posiew poniża, zuboża —
Przyszłość otworzy wrota nie plonom, lecz zbrodniom.

Lubił niekiedy w rymach wypowiadać swe myśli. Lecz czy te odnosiły się do rysunku? Nie mogła odgadnąć. Chciała już rzucić je wraz z innemi w głąb biurka, lecz ta zagadkowość zadrasnęła ją. Czyżby nie potrafiła myśli jego odgadnąć? Złożyła papier i wsunęła do książeczki, którą zawsze nosiła przy sobie.

Dzisiaj dzień jej nie zastał przy biurku; zamknęła je znacznie wcześniej i smutna wróciła do siebie.

Zasnąć jednak nie mogła. Więc wszystko napróżno? Więc nigdy — nigdy? Cóż jest nareszcie to życie, że nie zdoła być nieśmiertelnem? Jeśli tkwi w mózgu jakiś zarodek myśli logicznej,

to chyba nie po to, aby błąkać się w niedorzecznościach. Jakżeby mógł tak rozwiać się niby mgła — to serce kochające, wielkie, ta myśl tak różnostronnie wyrobiona? Przemiana materji? Z tych myśli podniosłych — robak kopiący w ziemi? Albo tam, jak inni mówią, atom światła w źródle jasności? Lecz, cóż tu? Dla niej, dla ziemi? Gdzie żył i myślał, gdzie kochał? Bez echa żaden najlichszy dźwięk nie przechodzi, ani światło nie błyśnie, aby nie rzuciło cienia — on że jeden ma być wyzuty ze wszelkiej nieśmiertelności? Garść zgnilizny w ziemi — zgnilizny, wstrętne rozłożone resztki...

Tak go kochała, tak bezgranicznie wierzyła — w cóż ma wierzyć i co kochać teraz? Miała przed sobą zawieszone wysoko jakieś bóstwo i nagle, jednego dnia — niema go! A serce pozostało pełne. Gdyby wiedziała, że bóstwo to było marą, możeby oszalała nad swą pomyłką, ale miałaby poczucie jakiejś logiczności; omyłka, nic więcej — jakiś brak we własnym jej mózgu, to jasne i proste; ale tu? Gdzież to jest — to wszystko, co było pełnią życia, pełnią uczuć, marzeń, wiary? W cóż się to wszystko obróciło? Wstrętna, ruszająca się kupa robactwa... z jego mózgu, z jego serca!

Nie przychodzi do niej, bo już jest tylko tą garścią próchna i robaków — nie przyjdzie nigdy. Niema go — niema! Przeistoczył się w kłębek robactwa. Potworne, śliskie, przewracające się w ziemi, w zgniliźnie żyjące robactwo.

Umarł! Oto teraz umarł dla niej bezpowrotnie. Nie przeszedł do nieśmiertelności. Istnienie zamknęło się nad nim zupełnie, szczelnie, jak wieko nad trumną. Próżnia — czarna próżnia... A tam, w ziemi — to robactwo, dogryzające resztek.

Jaka ciężka, dusząca czarność.. Ach! — któż zdoła to wytrzymać? Zamknąć oczy — gdyby tak zamknąć duszę? Nie oddychać, nie czuć, nie myśleć — skończyć mękę. Prędzej! o, gdybyż prędzej!

Lecz skądże pewność, że »tam« go odnajdę? Ach, przestałaby chociaż czekać, przestałaby szukać. Wszakże i tak nie będzie już ani czekać, ani szukać... Kłębek robactwa — szeleszczą, przewracają się, gryzą. Zgryzły jego mózg, najadły się jego myśli. Kochasz mię? Robactwo tem żyje. Wierzysz w wielkość przeznaczeń człowieka? Zgryzło twą wiarę robactwo...

Dok. n. *W. Dalecka*

Rozbiory i sprawozdania.

»Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich«. — S. Adalberg. — Warszawa 1895.

—

Książka p. S. Adalberga należy do tych dzieł, które na zawsze pozostaną w piśmiennictwie narodu jako zbiór surowego materjału, nigdy nie tracącego swojej wartości. Wprawdzie szerokie koła do niej nie zajrzą, ale każdy ze swojskich folklorystów i znawców języka, każdy z historyków naszej kultury będzie musiał do niej sięgnąć. Już w wieku XVII. zbierano u nas przysłowia: w r. 1618 po raz pierwszy ukazał się zbiór Salomona Rysińskiego, później w r. 1732 Grzegorza Knapskiego. Były to prace zresztą głównie dydaktycznej natury. W pierwszej połowie bieżącego stulecia zainteresowanie tym przedmiotem wzrosło, dość wymienić z ówczesnych prace K. Wł. Wójcickiego, Tymoteusza Lipińskiego, Bartoszewiczów i Kraszewskiego, który cenił wysoko pożytek przysłów. »Nie wiem — wyraził się on — czy jaki pomnik może być równego znaczenia, większej wagi, płodniejszy we wnioski nad zbiór przysłów«. Zdanie to p. Adalberg zamieścił na czele swej książki. Wiele z ówczesnych wysiłków spełzło na niczem. Praca np. T. Lipińskiego pozostała w rękopisie, który znajduje się obecnie w bibljotece ordynacji Krasińskich, i którego druk, po ogłoszeniu pracy p. Adalberga, byłby już spóźniony.

Książka, o której mowa, zawiera około trzydziestu tysięcy przysłów, prócz przeróżnych odmian, których jest tam około czterdziestu tysięcy. »Są to cyfry, o których, rozpoczynając pracę w r. 1883, nie ważyłem się nawet pomyśleć«, powiada autor. W rzeczy samej, miał on pracy niemało. Początek jej sięga r. 1883. S. Adalberg zaczął wtedy gromadzić pierwsze cegiełki swojej budowy — cegiełki, które należało wydostać z możliwie dostępnych źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, nadto zaś uzupełnić je żywiołem najcenniejszym, ludowym, nieogłoszonym. Z początku szło oporem, niełatwo bowiem było o niezbędne druki z wieków XVI. i XVII. Z pomocą autorowi przyszedł księgozbiór p. Ignacego Bernsteina, zawierający przeszło dwa tysiące dzieł w różnych językach, a zawierający tylko przysłowia.

Powoli zamiar zebrania przysłów zyskiwał zwolenników: autor otrzymał wstęp do prywatnych bibliotek, a znaleźli się też chętni, którzy dopomogli w gromadzeniu materjału. W roku 1887 p. S. Adalberg zebrał już z górą dwadzieścia tysięcy przysłów. Wtedy kasa imienia Mianowskiego obiecała swoją pomoc. Wydrukowano kilkadziesiąt próbnych egzemplarzy pierwszego arkusza i rozesłano je do specjalistów i znawców, prosząc o ocenę. Wreszcie na początku r. 1889 autor zdecydował się przystąpić do rozpoczęcia druku dzieła. Korekty, uzupełnienia i skorowidz zajęły wiele czasu. Wreszcie okazało się dzieło, zawierające przeszło osiemset stronic. Autor włożył w nie dziesięć lat życia. »Taką jest praca — powiada p. S. Adalberg w końcu przedmowy do swojej książki — którą pokusiłem się zapełnić ważny brak w literaturze; czy szczęśliwie, nie moja to rzecz oceniać, czy praca niniejsza jest kompletną, bez błędów i źródłowe studja nad przysłowiami wyczerpującą? Daleki jestem od tych myśli; a najdalej od ostatniej. Nie ulega wątpliwości, że mimo tak długiej pracy i szperań najusilniejszych, »Księga« nie jest kompletną, a mniej jeszcze wolną od błędów, omyłek, opuszczeń, rzeczy mniej lub więcej ważnych. I nie może nią być pracą dziecięcioletnia. Walczyła ona przez ten czas z trudnościami najrozmaitszej natury, a dość często latami całemi poświęcać jej mogłem zaledwie godziny nocne, wolne od innych zajęć. Nie zawsze i nie wszędzie też »Księga« spotykała się z przyjaznem dla niej usposobieniem i gotowością

do pomocy. Przychodziło jej wielokrotnie walczyć z silnem uprzedzeniem do folklorystyki, uważanej w pewnych nawet kołach uczonych za amatorską tylko zabawę, niegodną umysłu samodzielnego i myślącego... Pracą niniejszą chciałem zresztą zbudować nie dom cały i skończony, bo to przechodzi siły jednostki, ale trwałe i pewne, bo na fundamencie oparte rusztowanie, któreby przyczynić się mogło do zbudzenia nauki przysłowioznawczej u nas i sprowadzenia z torów dyletanckich na czysto naukowe. Wyczerpanie krążących jeszcze wśród ludu, a więc najcenniejszych przysłów, odgrzebanie już zapomnianych z pisarzy staropolskich, dawnych rękopisów, wokabularzy, gramatyk, wreszcie z ukazujących się wciąż przedruków dzieł nieznanych, winno być najbliższem zadaniem tego, który obecnie pracą przysłowioznawczą się zajmie. Nieodzownem też jest, że tak powiem, krytyczne przesianie posiadanych zbiorów, zwłaszcza co do nazwisk i miejscowości, i wyłączenie z nich tego, co do zbioru należeć nie może i nie powinno«. Z »Księgi« usunięto tak zwane przysłowia gminne *(proverbia obscena)* i zakwalifikowano do osobnego zbiorku, przeznaczonego tylko dla specjalistów.

Jeszcze słów kilka o układzie całości. Autor, wychodząc z założenia, iż zbiór przysłów jest materjałem, mającym służyć do wszechstronnych studjów: językowych, historycznych, obyczajowych i innych, starał się o taki układ, któryby jak najbardziej korzystanie z tego materjału ułatwił, a więc o układ najprostszy, najmniej zawiły i skomplikowany, przedewszystkiem zaś najbardziej objektywny, niezależny od osobistego poglądu układającego i nie mogący być przez rozmaitych czytelników różnie wykładany. »Kwestja porządkowania przysłów, — powiada S. Adalberg — nie jest kwestją teoretyczno-naukowego, ale praktycznego znaczenia. Zadanie układającego zbiór przysłów podobne być winno do zadania bibliotekarza, którego ideałem jest rozmieszczenie książek w taki sposób, aby poszukiwane jak najprędzej i bez trudności znaleźć się dały!» Nadto do »księgi przysłów» dołączono nadzwyczaj mozolnie ułożony skorowidz, który pozwala prędko znaleźć wszelkie przysłowia, dotyczące jakiegoś wyrazu.

Pracę swoją autor poświęcił Oskarowi Kolbergowi, który podobnie własnym wysiłkiem nagromadził tak cenne materjały do ludoznawstwa krajowego.

(*Gazeta Polska*).

Przegląd pism.

»Ateneum«. — Kwiecień 1895.

Artykułem »W kwestji krytyki« rozpoczyna W. Kloss czerwcowy zeszyt »Ateneum«, wskazując, iż »pierwszy i zasadniczy błąd większości naszych krytyk polega na t. zw. »taksowaniu« utworów, zamiast ich wyjaśniania«. Tymczasem głównem zadaniem krytyka powinna być — zdaniem autora — nie ocena utworów, ale ich tłumaczenie. »Krytyk, jako więcej przygotowany specjalnie do odczuwania pewnej sfery zjawisk estetycznych i do ich uświadamiania sobie (czy to w dziedzinie literatury, czy muzyki lub malarstwa i rzeźby), łatwiej może zrozumieć język, jakim do nas przemawiają wszelkiego rodzaju chorążowie nowych kierunków, t. zw. nowatorzy, łatwiej mu jest odczuć ideały, jakie światu wskazują. Stojąc zaś bliżej masy, może i powinien owe uświadomione wrażenia i przyswojone nowe idee popularyzować wśród ogółu«.

»W chwili, gdy artykuł obecny dojdzie do rąk czytelników — pisze p. Chmielowski na wstępie swej sylwetki literackiej Zygmunta Sarneckiego — nowa sztuka p. Sarneckiego p. t. »Harde dusze«, przerobiona z powieści Orzeszkowej, zostanie już może przedstawioną na scenie teatru letniego w Warszawie«. W tej samej prawie chwili Sarnecki, walcząc wytrwale przez lat ośm »z obojętnością czytelników galicyjskich«, zmuszony został do zaprzestania wydawnictwa »Świata«. P. Chmielowski taką w końcu swego artykułu kreśli charakterystykę Sarneckiego jako dramaturga: »Sarnecki należy do tych komedjopisarzów najnowszej doby, którzy, korzystając z wzorów francuskich co do techniki dramatycznej, poprowadzili po Korzeniowskim dalej przemianę typów na charaktery indywidualne. Kilka takich charakterów męskich i kobiecych, dobrze wykonanych, stanowi istotny nabytek w naszym artyzmie dramatycznym. Wybieranie osób przeważnie z towarzystwa salonowego, styl z francuska przykrojony, lubo całkiem wolny od galicyzmów, sprawia, że z pozoru robią komedje Sarneckiego wrażenie, jakoby mało posiadały swojskości. Zajrzawszy jednak głębiej w dusze przez niego stworzone, przekonamy się, że pozór myli, a zarzucane przez niektórych recenzentów naśladownictwo francuzkich pisarzów zupełnie uzasadnić się nie da, gdyż sztuki S. wcześniej się ukazały w druku, niż ich mniemane pierwowzory. Nie może oczywiście S. spółzawodniczyć pod względem swojskości z Blizińskim, ale z innymi nowszymi komedjopisarzami stoi w tej mierze na równi, a niekiedy, jak w zarysie charakterów młodzieży, nad nimi góruje«.

Artykuł p. Brünera »Z metodologji socjologicznej« przynosi sprawozdanie z pracy Durkheima p. t. *Les règles de la méthode sociologique*, której główne postulaty są następujące: walka o niezależność socjologji od wszelkiego rodzaju doktryn filozoficznych, zastosowanie do zjawisk społecznych metody objektywnej i wyodrębnienie sfery socjologicznej z pośród wszystkich innych dziedzin przyrody.

Będąca na ukończenin powieść Sewera pod tytułem: »Biedronie« powinna zwrócić na się uwagę fachowej krytyki, jako jeden z bardzo nielicznych w naszej beletrystyce utworów o temacie, całkowicie zaczerpniętym z życia ludu.

P.

PRO MEMORIA.

3. lipca 1890. Zmarł w Krakowie Apolinary Hofmeister, wojewoda brzesko-litewski za czasów powstania r. 1863. W r. 1846 był on uczestnikiem spisku Reera w Wilnie, za co został zesłany na Sybir.

4. lipca 1890. Złożono zwłoki Adama Mickiewicza na Wawelu.

6. lipca 1809. Napoleon stoczył świetną bitwę pod Wagram, w której Polacy okryli się chwałą wojenną.

6. lipca 1863. Chmieliński pobił Moskali na głowę w Janowie koło Częstochowy.

7. lipca 1792. Kościuszko pobił Moskali pod Włodzimierzem w guberni wołyńskiej.

8. lipca 1863. Jasiński pobił Moskali pod Zambrowem.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.